Nr. 5. Kraków, w maju 1902 r. Rok III.



Pismo
dla kobiet wiejskich
wychodzi w drugą niedzielę każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . . . 1 kor.	zagranicą . . . 1 marka
półrocznie . . . 50 hal.	pojedynczy numer 10. gr.

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, I. p.

TRZECI MAJ.

(Mazurek).

Sto lat temu, w polskiej ziemi
Miłość bratnia splotła wiano
Na skrwawioną skroń, na skrwawioną skroń.

Naród wzgardził myśli złemi,
Jakie złotem w kraju siano,
I odepchnął dłoń, i odepchnął dłoń.

Co zabójczy jad z północy
Chciała wszczepić w serca bratnie:
Hańbę przyszłych lat, hańbę, przyszłych lat.

I wprowadzić przy pomocy
Niezgód, złości, w fałszu matnie
Bratnicj zgody kwiat, bratniej zgody kwiat.

Lecz daremne wrogów złości,
By zniweczyć prawa święte!
Zniszczyć swobód raj, zniszczyć swobód raj.

Cała ludzkość w potomności
Dzieło swobód rozpoczęte
Uczci w Trzeci Maj, uczci w Trzeci Maj!

O TADEUSZU KOŚCIUSZCE.

Przez M. T. P.

(Ciąg dalszy).

Najserdeczniejszą jednak przyjaźń zawarł tam, na ławie szkolnej z późniejszym poetą, Julianem Niemcewiczem, który uczucia tego dochował mu do końca życia. Jak w naukach, tak i w ćwiczeniach ciała, gimnastyce i fechtunku celował Tadeusz. To też po ukończeniu szkoły kadetów, wysłano go na koszt rządu za granicę, celem dalszego kształcenia się w zawodzie wojskowym. Kościuszko wyjechał do Francyi i przez dwa lata w akademii wojskowej w Wersalu (pod Paryżem) uczył się gorliwie, następnie przesiedlił się do Paryża, gdzie brał lekcye budownictwa, a wreszcie w Breste (mieście nadmorskiem) pracował nad poznaniem sztuki zakładania twierdz i oblegania ich. Lecz szanując też pracę ręczną i rozumnie uważając ją za nader potrzebną dla człowieka, wyuczył się tokarstwa, co mu niejednokrotnie w dalszem życiu umilało gorzkie chwile samotności, lub długie godziny niewoli. Ogółem spędził za granicą pięć lat, na kształceniu się w zawodzie swoim.

W roku 1774 (już po pierwszym rozbiorze Polski) powrócił do Ojczyzny. Zaraz pospieszył do Warszawy i przedstawił się królowi. Ten przyjął go bardzo łaskawie i mianował kapitanem w czynnem wojsku Rzeczypospolitej. Z korpusem swoim przeniósł się wkrótce Kościuszko do Krakowa, aby pracować nad ulepszeniem obwarowań tego miasta. Miał on dziwny dar ujmowania sobie wszystkich otaczających go. Serce kolegów podbijał wyższością swego rozumu, a przytem nadzwyczajną grzecznością w obejściu, przełożonych zniewalał siłą charakteru i pracą, którą największe pokonywać zwykł był trudności. Kochano go też i poważano, i zdawało się, jakoby nieba samemi różami wyścielić mu pragnęły ścieżkę żywota, a przecież los nie oszczędził mu bólu gorzkiego i zawodu w chwili, gdy o przyszłości życia swego postanowić pragnął.

W roku 1776 stanął Kościuszko z wojskiem swem w Sosnowicach (miasteczku w Lubelskiem) i dostał kwaterę w zamku tamże zamieszkałego właściciela p. Sosnowskiego. Opatrzność chciała, że córka gospodarza domu Ludwika, piękna i dobra dzieweczka, wpadła w oko i serce Tadeusza. Pokochał ją pierwszą, silną, młodzieńczą miłością i wkrótce pozyskał wzajemność. Lecz ojciec panienki, dumny magnat, nie umiejący przeniknąć szlachetnej i wielkiej duszy Kościuszki, wręcz odmówił młodym swego przyzwolenia, i aby tem pewniej pozbawić ich wszelkiej nadziei, czemprędzej wydał Ludwikę za starającego się o jej rękę księcia Lubomirskiego. Nieszczęśliwy w miłości Kościuszko, postanowił na jakiś czas opuścić kraj, gdyż nie widział w nim dla siebie żadnego pola do pracy. Podówczas bowiem (a było to wkrótce po pierwszym rozbiorze kraju) dziwna cisza owładnęła Polskę. Nie zanosiło się na żaden wybuch wojenny, na żaden ruch przeciw wrogom, którzy w r. 1772 uszczuplili granice Rzeczypospolitej i tylko tu i owdzie zaczynano myśleć o wewnętrznem podniesieniu narodu. Ale to nie było właściwością Kościuszki. Czuł, że w obecnych stosunkach na nic nie przydałby się Ojczyźnie, więc uwolniwszy się od służby, pożegnał wojsko i w r. 1776 wyjechał na Paryż — do Ameryki.

II.

W owym czasie wrzała właśnie na drugiej półkuli zacięta walka między Wielką Brytanią a jej osadami, które zbyt wyzyskiwane przez króla angielskiego, podniosły bunt i z orężem w ręku postanowiły uwolnić się z pod niesprawiedliwie nałożonego sobie jarzma zależności.

Kierownikiem i naczelnym wodzem amerykańskiego powstania, był Jerzy Washington, najcnotliwszy z ludzi. Kościuszko, którego serce dla szlachetnej tej sprawy żywiej zabiło, zaciągnął się w szeregi amerykańskiego wojska, jako prosty żołnierz-ochotnik — lecz wkrótce należycie poznany i oceniony przez wodza, dostał się do jego sztabu i otrzymał stopień pułkownika — przyczem poruczono mu prowadzenie robót inżynierskich, przy dywizyi gen. Shuyler'a. W wojnie tej, walcząc za sprawę wolności gnębionego dotąd narodu, odznaczył się nasz bohater, jak wszędzie i zawsze zresztą, męstwem, odwagą, wytrwałością, miłością cnoty i ludzkością. Te to przymioty, zespoliwszy się w duszy jego w jedno, stały mu się jakoby gwiazdą, która go wiodła ku sławie i nieśmiertelnej wdzięczności synów wolnej dzisiaj Ameryki.

Wojna Amerykanów o niepodległość, z różnem toczyła się szczęściem. Powstańcy nie opuszczali rąk, nie zniechęcali się żadnemi niepowodzeniami, nawet po przegranych bitwach, otuchy nie tracili, nie rozpaczali, lecz walczyli wciąż i ufali sobie. Tadeusz Kościuszko podzielał wszystkie ich nadzieje i nie szczędził krwi własnej, celem ich urzeczywistnienia. Na każdym kroku, gdzie jeno mógł, składał wymowne dowody, że sprawa, w obronie której broń podniósł, równie mu miłą jest i świętą, jak tym, których ona bezpośrednio dotyczyła. W jednym tylko różnił się od nowych swych przyjaciół. Okrucieństwo, jakiego nieraz dopuszczali się nad jeńcami nieprzyjacielskimi, hamował i przeszkadzał mu skutecznie. To też Washington odczuł całą szlachetność postępowania Kościuszki, i w dowód uznania zdjął raz z palca kosztowny pierścień i dał go Tadeuszowi wobec zgromadzonych oficerów.

Ośm ciężkich lat (od 1775 do 1783) trwała ta krwawa wojna amerykańska, lecz za wolą Bożej sprawiedliwości zakończyła się na korzyść wolności angielskich osad, które odtąd utworzyły samodzielne państwo pod nazwą Stanów Zjednoczonych. Kościuszko, pomnąc na Polski niedolę, nie mógł w szczęśliwym tym kraju spokojnie zażywać owoców swego poświęcenia. Prosił tedy o uwolnienie go ze służby wojskowej i o pozwolenie odjazdu do Europy. Kongres Stanów Zjednoczonych (najwyższe zebranie przedstawicieli narodu, inaczej sejm) na przedstawienie Washingtona, prezydenta nowej Rzeczypolitej, zamianował go generałem brygady i w nagrodę długich wiernych i zaszczytnych zasług, ozdobił go orderem „Cyncynata". Oprócz tego zaszczycono go jeszcze obywatelstwem Stanów

Zjednoczonych, wyznaczono mu pensyę i darowano znaczne grunta.

Rozstanie jego z Washingtonem było rzewne i rozczulające.

Kościuszko miał lat 38, kiedy wzbogacony wiedzą i doświadczeniem, zdobytem na drugiej półkuli, puścił się w podróż do Europy.

W Ameryce walczył w imię pogwałconych praw ogólnie ludzkich, tu walczyć mu było przeznaczono za Ojczyznę!

Do Polski przybył w r. 1784 r.

III.

Stanąwszy w Warszawie, zaczął się Kościuszko rozglądać, za jakiemś odpowiedniem dla siebie zajęciem. Naturalnie, że jako żołnierz, pragnął służyć krajowi w wojskowym zawodzie. Ale niestety! Były to bardzo smutne czasy! Polski naród ledwo dyszał pod obuchem Moskwy, a wojsko, którego naczelnikiem był książę Józef Poniatowski, synowiec króla Stanisława Augusta, zupełnie nic nie robiło; nawet nie ćwiczyło się, bo nie miano zgoła nadziei, aby kiedyś udało nam się zrzucić gniotące jarzmo. Serce Tadeusza Kościuszki ścisnęło się boleśnie, gdy poznał smutny stan kraju. Czuł, że tak być nie powinno, ale sam poradzić nie mógł nic, a obojętnie patrzeć nie umiał, więc opuścił Warszawę i udał się do Siechnowic, a następnie do Datkolisek wsi na Podlasiu, gdzie osiadłszy spokojnie przepędził sześć lat, gospodarując, ucząc się i pracując w ulubionem sobie tokarstwie.

Tymczasem zacni obywatele, widząc, że Polska zginie, jeśli się przynajmniej wewnątrz nie poprawi, pracowali tyle nad niedołężnym królem, aż go zmusili do zwołania sejmu w r. 1788, na którym miano obmyśleć środki podniesienia Ojczyzny z upadku. Sejm ten trwał lat cztery, zwie się więc wielkim, czyli czteroletnim. Pracowano na nim bardzo gorliwie, a zakończono go wiekopomnem dziełem, chlubę nam przynoszącem, to jest ogłoszeniem zbioru praw czyli konstytucyi 3-go maja 1791 roku.

„Naród z królem, król z narodem“ wołano po kraju i cieszono się, wielkie korzyści obiecując sobie po tej konstytucyi. Odgłos radości całej Polski dobiegł i do cichego ustronia Kościuszki. Do głębi duszy przejęty tą pocieszającą wieścią, natychmiast podążył do Warszawy. „Teraz — myślał — będę mógł może siły moje i usługi ofiarować Ojczyźnie!“ Ale, że nowa ustawa (konstytucya), jako zmierzająca do naprawy Rzeczypospolitej nie była dogodną Moskwie, która miała na oku dalsze zabory w Polsce, przeto carowa Katarzyna II. tak pokierowała, iż niektórzy możni panowie — zdrajcy, niby w celu bronienia zagrożonej wolności szlacheckiej, a rzeczywiście, aby dumie swojej dogodzić — zawiązali na Ukrainie „konfederacyę Targowicką“ i złączywszy się z wojskiem moskieskiem zbrojno domagali się zniesienia konstytucyi. Król Stanisław August, widząc na co się zanosi, rozkazał wojsku, w liczbie 45 tysięcy pod wodzą ks. Józefa Poniatowskiego stojącemu, uderzyć na wrogów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

SOBÓTKI.

W różnych dzielnicach naszej Polski, różnie sobótki obchodzone bywają i nie w jednym czasie, a najmniej zwyczaj ten zachowanym jest w Galicyi. W Zielone Święta, a szczególnie, w drugi ich dzień, w okolicach Krakowa, młodzież wiejska robi ze słomy pomiotła, te osadzają na długich tykach, maczają w smole i kiedy już zmierzch zapada, zapalają je i biegają z niemi po miedzach i wzgórzach. Spadające krople palącej się smoły śliczny sprawiają widok zdaleka, szczególnie kiedy już wieczór jest ciemny. Układają także małe stosy suchych gałęzi po miedzach i te zapalają. Górale zgromadzają na wysokich szczytach gór swoich ogromną ilość gałęzi i słomy, które zapalone, oświetlają całą okolicę i nieraz łuna taka sprowadza z drugiej wsi sąsiadów, którzy spieszą na ratunek, myśląc, że się pali jaka osada. Zwyczaj palenia sobótek jest na pamiątkę zesłania Ducha świętego, który ogniste języki zesłał na uczniów Pańskich. Na Litwie i w Królestwie Polskiem obchodzą sobótki w wilię św. Jana, to jest 23 czerwca i nie nazywają ich sobótkami lecz Kupałą. Ta nazwa sięga jeszcze czasów pogańskich, kiedy Słowianie czcili bożka „Kupałę“ paląc mu ogień i tańcząc naokoło niego, a on im za to przeznaczał małżeństwa.

Zwyczaj ten i dotąd zachowanym jest szczególnie między ludem wiejskim. Zbierają się gromadnie gdzieś daleko za wsią, w bliskości lasu, zapalają ogromny ogień, naokoło którego tańczą przy dźwiękach muzyki, śpiewając umyślnie do tego ułożone pieśni, w których zawsze łączą jakiegoś parobka z dziewczyną, a skojarzone tam pary często bardzo stają się później małżeństwem.

Niektórzy parobcy chcąc pokazać swoją zgrabność, przeskakują przez palący się ogień. W niektórych dworach, tam szczególnie, gdzie są młode panienki, zwyczaj ten starodawny ściśle obchodzonym bywa. Przypominam sobie, jak dobrze raz bawiłam się na takich sobótkach w Orłowie, u państwa Orłowskich, gdzie lud wiejski z dworem żyje w wielkiej zgodzie i miłości, tam w takich zabawach nietylko państwo Orłowscy, ale i z całej okolicy szlachta zjeżdżała się, by wziąć udział w zabawie, bo na drugi dzień przypadały imieniny panny Janiny, jedynej córki państwa Orłowskich, więc te dwie uroczystości razem łączyli, żeby się lepiej bawić.

Panna Janina śliczna była, jak święta w obrazku, a że przy tem i bardzo bogata, więc dużo młodych panów zjeżdżało się, żeby pozyskać jej względy, ale ona drwiła ze wszystkich, szydziła z nich i dokuczała zjadliwie. Był tylko jeden, którego bardzo lubiła, a był nim Bolko Dudkowski, syn bliskiej ich sąsiadki, która maleńką wioskę dzierżawiła od pana Orłowskiego. Janina i Bolek znali się od dzieciństwa, lubili się bardzo, bo prawie razem się wychowywali. Już od dawnych lat ułożyli sobie, że się pobiorą i nazywali się zawsze mężem i żoną. Chętnie patrzała na to matka Bolka, bo chciała mieć taką bogatą synową, ale pp. Orłowscy słyszeć o tem nie chcieli.

Bolek ładnie wyrósł, słuszny był, barczysty, niebieskie oczy figlarnie na świat patrzyły, płowa czupryna spadała mu na białe czoło; lubił bardzo polować, uganiać na koniu i umizgać się do wiejskich dziewuszek, ale do książki nie można go było napędzić. Przepychany z klasy do klasy, potknął się w III. gimnazyalnej klasie i już więcej do szkoły nie wrócił. Choć wyrósł jak dąbczak, nie wiele umiał, siedział na wsi i pomagał matce gospodarować. U państwa Orłowskich była jeszcze druga panienka, sierota po siostrze pana Orłowskiego, była to ukochana wnuczka starego pana Orłowskiego. Urszulka odwzajemniała miłość dziadunia bezgranicznem przywiązaniem, a dobrocią i łagodnością zjednywała sobie serca wszystkich, którzy ją bliżej znali. Szczupła była i drobniutka, jak dziecko, bladą twarzyczkę ocieniały ogromne kasztanowe włosy, a w pięknych szarych oczach, dziwny osiadł smutek.

Cała służba dworska kochała smutną panienkę, a szczególnie uwielbiał ją Wańko, młody Kozak dziadunia, który na jej skinienie gotów był w ogień i wodę się rzucić. Kochały ją też i wiejskie dziewuszki, z któremi chętnie się bratała i w każdą niedzielę chociażby nie wiem ile gości było we dworze. Urszulka zawsze biegła od nich za ogród na wzgórze, gdzie przy kapliczce Boga Rodzicy czekały na nią wiejskie jej przyjaciółki, tam czytała im co z książki lub opowiadała coś ładnego, by każda dziewuszka z jakąś dobrą nauką powracała do domu. W maju lub w dnie świąteczne Matki Boskiej, przystrajały razem kapliczkę, poczem Urszulka odmawiała głośno litanie i śpiewały razem różne pieśni na cześć Boga Rodzicy.

Gdy raz piękna Janinka zachorowała na ospę, a choroba przybrała takie rozmiary, iż życie jej było na włosku, młody doktór z bliskiego miasteczka nie odstępował od łóżka chorej całe dnei i noce. Zrozpaczony ojciec widząc niebezpieczny stan ukochanej córki, a bezgraniczne poświęcenie lekarza, powiedział do niego: „doktorze, ratuj ją, ocal jej życie, a będzie twoja“. Obok doktora nie odstępowała na krok od łóżka Janinki i dobra Urszulka, a widząc z jakiem poświęceniem doktór pielęgnuje chorą, przeceniła go i pokochała całem swem młodocianem serduszkiem. Młodość zwyciężyła chorobę i Janinka przyszła wkrótce do zdrowia, a dowiedziawszy się, że ją obiecali dać doktorowi, zaczęła mu nielitościwie dokuczać, ale doktór nic sobie z tego nie robił i tak ponętnej zdobyczy z rąk nie wypuścił, chociaż widział, że inne serce lgnie do niego.

Na wzgórzu na ślicznej polance, z dwóch stron otoczonej lasem, zkąd czarujący roztaczał się widok, służba dworska już od rana krzątała się, znosząc i zwożąc różne przedmioty do przyjęcia gości potrzebne. Pod rozłożystą lipą leżały już z dawnych lat pościnane pnie drzewa, które przykryte dywanami, służyły za kanapy do siedzenia; obok pod cienistym bukiem zastawiano stoły z różnem naczyniem i przekąskami, a na środku polany ułożono stos suchych gałęzi, które kilku wiejskich wyrostków z lasu ściągali. Zaraz po obiedzie pierwszy przyjechał stary dziadunio, w towarzystwie swej ukochanej Urszulki i wiernego Kozaczka. Wańka w swym odświętnym kozackim stroju, składającym się z jasno-granatowej kozaczynki, takichże szerokich szarawarów, schowanych w żółte buty, a baraniej czapce wysokiej ze zwieszającym się żółtym workiem, wyglądał bardzo ładnie.

Wańka miał cerę ciemno-żółtą, gęsta czarna czupryna zwijała mu się jak na młodym baranku, za ciemno-pąsowemi ustami chowały się niezrównanej białości zęby, nos jak u jastrzębia lekko zagięty i śliczne czarne oczy, ale tak straszne, tak dzikie, że nie można było znieść ich spojrzenia.

Wkrótce nadjechali państwo Orłowscy w towarzystwie licznych gości i cała polana zaroiła

się od strojnych pań, powiewnych panienek, które jak różnobarwne motylki biegały po łące, a za niemi jak żórawie, w czarnych surdutach na cienkich nogach kroczyli panowie.

Kiedy już młodzież zmęczona zabawą, usiadła dla odpoczynku, wtenczas dziadunio przywołał swego Kozaczka i kazał mu śpiewać. Wańko wyjął z ukrycia jakiś kozaczy instrument, usiadł u stóp swego pana, naprzeciw którego siedziała Urszulka. Na pniu obok dziadunia siedział doktór, wpatrzony w tę stronę, gdzie o pień lipy oparta stała piękna Janina, która od dzisiaj była jego narzeczoną. Janina w białej sukni, cała biała jak z alabastru wykuta, na tle zielonych gałęzi prześlicznie wyglądała. Wańko śpiewał melodyjnym swym głosem prześliczną jakąś dumkę, do której słowa podobno sam układał, wpatrzony był w Urszulkę, jakoby chciał badać, czy słowa jego robią na niej wrażenie; widział, jak smętne jej oczy w ziemię wpatrzone, nagle wyraz trwogi przybrały, zadrżała cała, zbladła i jak iskra podrzucona, zerwała się i skoczyła ku doktorowi, a unosząc troszkę sukienkę, śmiało stanęła maleńką swą nóżką na głowie żmiji. Ona jedna widziała, jak żmija wysunąwszy się z pod pnia, na którym siedzieli, pomału zbliżyła się do nogi doktora, a wysunąwszy żądło, już, już chciała mu zadać cios śmiertelny.

Nadeptana żmija okręciła się zaraz o nogę Urszulki, co widząc Wańko, w mgnieniu oka zerwał się z ziemi, chwycił żmiję z pod nogi Urszulki i uderzył nią o pień drzewa z taką siłą, że tylko strzępy z niej zostały.

Wszystko to odbyło się tak prędko, że całe towarzystwo oniemiało z przerażenia, a Urszulka po dokonanym czynie, upadła zemdlona na ręce dziadunia.

Doktor zaczął ratować mdlejącą, z czego skorzystał Bolko, który dotychczas siedział na uboczu zasępiony, a zbliżając się do Janiny, zapytał;

— Janiu, czy to prawda, że wychodzisz za doktora?

— Prawda — odpowiedziała, uśmiechając się do niego czarująco i wyciągając obydwie ręce.

— A ze mną, co będzie — zapytał?

— Będę cię kochać jak dawniej i pozostanę twoją przyjaciółką.

Zbliżenie się doktora przerwało dalszą rozmowę, a niebawem dały się słyszeć tony muzyki i śpiew wiejskich nadchodzących gości. Państwo Orłowscy wyszli na ich spotkanie, w czem wyprzedziła ich Urszulka, ściskając serdecznie spracowane dłonie swych wiejskich przyjaciółek. Bolko chcąc dokuczyć Janinie, odszukał zaraz Kasię, wójciankę, najładniejszą we wsi dziewczynę, do której dawno już się potajemnie umizgał; rozmawiał z nią wesoło, a gdy muzyka znów zagrała, pierwszy puścił się z nią w taniec, za jego przykładem poszli i inni panowie. Każdy wziął wiejską dzieweczkę do tańca, czem ośmieleni parobcy, pokłonili się panienkom, prosząc je do tańca. Zabawa stała się ogólną, wesołą i serdeczną, bo były to dzieci jednej matki, rośliny na jednej rosnące ziemi, tylko, że jedne wypielęgnowane w dworskich cieplarniach, a drugie dziko wyrosłe na polu.

Lokaje dworscy roznosili na tacach obficie napoje i przekąski, a gdy się zciemniać zaczęło, zapalono ogień i ogromne koło z młodzieży złożone, okrążało ogień, śpiewając do obrzędu zastosowane pieśni. Parobcy i panicze przeskakiwali przez ogień, w czem Bolko przodował przed wszystkimi i zabawa przeciągła się do późnego wieczora.

W parę lat później, zwiedzając znów tamte strony, zastałam wielkie zmiany. Stary dziadunio już nie żył, a po jego śmierci, Urszulka swój posag ofiarowała na budowę szpitala w miasteczku, gdzie mąż Janiny był doktorem i dyrektorem tego szpitala, a Urszulka w zakonnym stroju Siostry miłosierdzia, obsługiwała chorych. Wierny Wańko, nie opuścił swej panienki i przywdział fartuch posługacza szpitalnego. Bolko ożenił się z Kasią wójcianką, na co matka jego niechętnie się zgodziła, ale że Kasia była nie tylko kochającą żoną, ale i dobrą gospodynią, więc matka polubiła ją wkrótce i żyli z sobą w zgodzie i miłości.

Często pani Kasia, ubrawszy się w jedwabną suknię, jechała powozem odwiedzić swoich rodziców, kłaniając się na drodze spotkanym swoim dawnym towarzyszkom. *Walerya Ciechomska.*

Prusak męczy polskie dziatki.

Tam od Gniezna, tam od Warty
Biją głosy w świat otwarty,
Biją głosy, ziemia jęczy,
Prusak dzieci polskie męczy.

Za ten pacierz w polskiej mowie,
Co go zdali nam ojcowie,
Co go nas uczyły matki,
Prusak męczy polskie dziatki!...

Wstał nad Gnieznem orzeł biały,
W blask mu pióra się rozwiały
I do Boga z skargą leci:
„Prusak męczy polskie dzieci!...“

Zbudziły się prochy Piasta,
Berło w ręku mu wyrasta,
Skroń w koronie jasno świeci,
Idzie bronić polskie dzieci!...

„Zwołajcie mi moje Rady!
„Spieszcie wszyscy do gromady!
„Zwołajcie mi moich kmieci!
„Prusak męczy polskie dzieci!...

„Niechaj Wiara moja wstanie,
„Niech rozebrzmi zawołanie,
„Wici niechaj lud zanieci:
„Prusak męczy polskie dzieci!

„Bijcie dzwony! bijcie serca!
„Niech przed wami drży morderca,
„Niech przed ludem krzyk nasz leci:
„Prusak męczy polskie dzieci!

„Wstańcie sioła, wstańcie grody!
„Ruszcie z brzegów rzeczne wody!
„Bijcie dzwony od Kruszwicy
„Skróś piastowskiej mej dzielnicy!...

Hańba tobie, ty Herodzie!
W każdym kraju i narodzie!
Hańba tobie skróś stuleci,
Że mordujesz polskie dzieci!...

Krzyżowałeś ojce, matki,
Teraz bijesz polskie dziatki.
Do dwóch krzyżów przybył trzeci.
Prusak męczy polskie dzieci.

Gdzie trzy krzyże na Golgocie,
Wkrótce jutrznia wzejdzie w złocie,
Zmartwychwstanie tam zaświeci
Przez męczeństwo polskich dzieci.

Karolina Budnikowa.

Stanisław Szczepanowski.

Dnia 26 kwietnia odbył się we Lwowie uroczysty pogrzeb ś. p. Stanisława Szczepanowskiego, o którym słów kilka chcę wam powiedzieć, jako o człowieku, którego życie płodne było i twórcze, bogate czynami dzielnego ducha i wielkieog umysłu.

Urodzony dnia 12 grudnia 1846 r., w Kościanie, w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, Stanisław Szczepanowski pobierał początkowe nauki w Prusach Zachodnich, potem w Wiedniu, gdzie ukończył wydział chemiczny. Zajęty przez rok przy budowie kolei na Węgrzech, Szczepanowski wyjechał w r. 1867 do Paryża, a stamtąd przeniósł się do Anglii.

Poznano się tam na jego niepospolitych zdolnościach i potrafiono je zużytkować.

W Anglii Szczepanowski uświadomił sobie, że jednym z najpotężniejszych środków do walki o prawa narodu jest rozwój jego d o b r o b y t u i o ś w i a t y. Tam również nauczył się cenić przedsiębiorczość i odwagę, energię i wytrwałość, samodzielność i hart w trudach ciała.

Z zagranicy przywiózł Szczepanowski do kraju zdrową polską duszę, pełną miłości i zapału.

Do Galicyi Szczepanowski zajrzał po raz pierwszy w r. 1873. Zwiedził kraj cały i przekonał się, że „jesteśmy narodem, który jada za pół, a pracuje za ćwierć cywilizowanego człowieka“. Wówczas Szczepanowski postanowił odrodzić kraj za pomocą wielkiego przemysłu, nauczyć jego mieszkańców pracować i dać im możność jadania — za całego cywilizowanego człowieka.

Na stałe powrócił Szczepanowski do Galicyi w r. 1879 i rzucił się natychmiast do gorączkowej pracy. Postanowił wyzyskać bogactwa naftowe kraju.

Więc zwiedził pieszo całe Podkarpacie, poszukując naftowych obszarów. Pierwsza studnia powstała w Słobodzie Rungurskiej, która z małej wioski górskiej zmieniła się nagle w ruchliwą osadę przemysłową, zawrzała pracą kilkudziesięciu maszyn parowych, zaroiła się setkami robotników. W krótkim czasie powstała pierwsza w kraju, doskonale urządzona fabryka czyszczenia nafty w Peczeniżynie, a kolej połączyła Słobodę i Peczeniżyn z szerokim światem zbytu.

Szczepanowski tworzył nietylko nowy przemysł, lecz jednocześnie tworzył ludzi nowych, odradzał charaktery. On pierwszy własnym przykładem wprowadził zwyczaj pracy fizycznej u wykształconych ludzi. Szczepanowski umiał rozbudzić w nich poczucie obowiązku. Dając swym robotnikom najwyższą możliwie płacę, dbając o ich zabezpieczenie na wypadek choroby i niezdolności do pracy, budując szkoły dla ich dziatwy, Szczepanowski pozyskiwał nawzajem miłość i zaufanie robotników.

Tak rozwijała się praca Szczepanowskiego na polu przemysłowem, praca twórcza i obfitująca w bogate plony, praca podjęta i wykonywana z żarem prawdziwie obywatelskiego uczucia.

W roku 1886 wybrano go posłem do parlamentu wiedeńskiego, gdzie zasłynął jako bardzo zdolny, pracowity i sumienny pracownik.

Przez 12 lat dzielnie bronił spraw kraju naszego w Wiedniu — przez ten czas jednak zaniedbać musiał własne interesy, które plątały się coraz bardziej.

Pragnąc oprzeć przemysł galicyjski na trwałej i pewnej podstawie, Szczepanowski postanowił zająć się wydobywaniem węgla kamiennego. Ale węgiel zawiódł nadzieje Szczepanowskiego. Różne trudności i niesumienność urzędników spowodowały olbrzymie, milionowe straty. A gdy wytoczono proces lwowskiej Kasie Oszczędności o roztrwonienie kilku milionów, Szczepanowski, który winien tam był dużo pieniędzy, dobrowolnie oskarżył się o współwinę. Jednak sąd przysięgłych wszystkimi głosami Szczepanowskiego od odpowiedzialności uwolnił.

Zniszczenie majątku i zachwiane zdrowie nie złamały tego mężnego i silnego ducha. Szczepanowski wyjechał za granicę do Neuheim, gdzie przebywał w zakładzie leczniczym.

Choroba sercowa, na którą od dawna cierpiał, położyła kres jego życiu d. 31 października 1900 a teraz sprowadzono jego ciało do ojczystej ziemi.

Lecz czyny Szczepanowskiego przeżyły go. A czynem jego — to nietylko szereg największych ognisk przemysłowych w Galicyi — nietylko życie i dobrobyt tysięcy rodzin robotniczych. Czynem Szczepanowskiego jest jego żywot cały, który był jednem pasmem wysiłków stwarzania przyszłości narodu. Czynem wielkim i obywatelskim jest również dzieło jego: „Nędza Galicyi“.

Sięgał on wzrokiem ku promiennej jutrzni narodowej niepodległości. Po przez ciernistе, pełne trudów i znoju życie, prowadziła go ta sama jasna gwiazda, która przyświecała wszystkim naszym wielkim ludziom, od Kościuszki począwszy. Na innem tylko polu i pod innymi sztandarami wypadło mu staczać boje.

„Kto ma duszę, niech wstanie, niech żyje“! Bo jest czas żywota ludzi silnych“.

(Według *Słowa Polskiego*).

MAJ.

Gdy majowa świta zorza —
Gdy się w zieleń stroją gaje —
Ach! przed Tobą Matko Boża
Naród polski we łzach staje.

Łąki kwiecą się i sady
Na cześć Twoją, Panno Święta —
A w ustroniu cichych lasów
Rozśpiewały się ptaszęta.

Wszystko niesie Tobie dary:
Umajone gaje — pola —
My Ci tylko łzy składamy —
Bo łez pełna nasza dola.

O Królowo! nasza Pani!
Nie odtrącaj nas od siebie!
Ale z naszej smutnej dani
Utwórz jasne gwiazdy w niebie.

A gdy ciężko, smutno będzie
W najczarniejszych trosk godzinie,
Niech nam z Twoich świętych dłoni
Światło i opieka spłynie.

Pogawędki naukowe.

Obieg wody w przyrodzie.

W otoczeniu naszem widzimy wszędzie bardzo dużo wody. Dobywamy ją ze źródła, ze strumienia, z rzeki, spada woda na ziemię w postaci deszczu, śniegu, gradu, występuje jako rosa lub szron, a poza tem wiemy, że są na świecie niezmierzone morza, oceany, które na kuli ziemskiej zajmują o wiele więcej miejsca, niż lądy.

Znajdująca się w tak różnych miejscach woda jest jednak ta sama, wszelka woda bowiem pochodzi z jednego źródła i wraca znów do niego, a mianowicie do morza. „Jak to, powiemy, przecież tak dużo wody spływa nam z chmur, — przynajmniej ta jest innego pochodzenia, i inna także woda wytryska z głębi ziemi w miejscach, gdzie o żadnem morzu ani słychać, ponieważ jest ono odległe o setki i tysiące mil!“ Otóż takie mniemanie jest błędne. Zaraz bowiem prze-

konamy się, że niema różnych gatunków wody, i że ta sama woda wędruje po całym świecie, unosi się w powietrzu, jako chmury i obłoki, przelewa się na powierzchni kuli ziemskiej jako fale rzeki i oceanu, i wydobywa się z głębi ziemi w postaci źródła.

Przedewszystkiem niepojętem wydaje się, jak woda może nagle wznieść się w powietrze? Wszak nigdy nie widzieliśmy strumienia wody, któryby wznosił się ku górze, aż do chmur, a widzimy zawsze tylko wodę, spadającą z nieba, jakby tam na górze było niewyczerpane jej źródło!

Przypatrzmy się, co się dzieje.

Najbliżej pod ręką jest nam woda na powierzchni ziemi, w strumieniach, jeziorach i rzekach. Śledząc ją ciągle, uważamy, że w gorącej porze roku, woda ta, nie zasilana deszczami — wysycha miejscami, ogromne jej przestrzenie znikają, pozostaje popękana ziemia, a bezwarunkowo wszędzie staje się ona płytszą, niż była na wiosnę. Gdzież się podziała? Część jej wsiąkła do ziemi, przenikła do głębszych warstw skorupy ziemskiej, a część, w postaci pary, uniosła się w powietrze.

Że takie unoszenie się w górę jest rzeczywiście możebne, zobaczymy na doświadczeniu.

Nalejmy do jakiego płytkiego naczynia trochę wody i wystawmy ją na słońce. Po pewnym czasie ujrzymy, że woda znikła; a że do naczynia wsiąknąć nie mogła, widać, że zamieniła się w parę, i jako taka uleciała w powietrze.

Takiej pary unosi się mnóstwo w powietrzu. Zazwyczaj jej nie widzimy, chyba że występuje w znacznej ilości, kiedy powietrze jest nią przesycone. Tak n. p. mgła, opar, unoszący się na wiosnę nad ziemią, jest taką właśnie parą wodną, skupioną w nadmiernie dużej ilości z powodu, że na wiosnę nadmiernie dużo jest wilgoci.

Opar ów, kiedy się wzniesie wysoko, tworzy chmury.

Chmury nie są wszystkie jednakowe i nie na równej znajdują się wysokości. Jedne, owe ciemne, kłębiące się, deszczowe chmury są najniższe, są najbliżej nas; że tak jest ale w istocie, można się przekonać na wierzchołkach wysokich gór, te bowiem niekiedy wystają ponad chmury, i stojąc na takim wierzchołku, widzi się słońce, podczas gdy na dole deszcz pada. Stoi się wtedy ponad chmurą, ściele się ona u naszych stóp.

Lecz są inne chmury, których żadne szczyty górskie nie dosięgną. Są to te białe, przeźroczyste obłoki, przybierające tak rozmaite kształty.

Im bardziej są one rozsnute po niebie, im drobniejsze, tem są wyższe.

Czasami w dzień pogodny widzimy je jako drobne niteczki, pasemka rozwiane po niebie lub jak całą masę plamek, porównywamy je wtedy do stada białych baranków.

Nasze stroje, mowa i obyczaj.

Nazwano nas „pawiem i papugą narodów“.

Określenie to nietylko do klas przodujących, ale i do ludu naszego, słuszne niestety znajduje zastosowanie.

Piękne malownicze stroje narodowe, w które Ojczyzna nasza tak obfituje, zarzuca się zbyt pochopnie dla lichych, kusych tandetnych „jakli“ niemieckich, lub wstrętnych z wojskowych wyszarzanych mundurów, przerobionych kabatów. W miejsce wspaniałego góralskiego kapelusza, miłej krakuski lub wygodnej magierki, wstępuje zgniło zielony tyrolski kapelusz z nieodzownem piórkiem.

Ku uznaniu i pochwale tylko ludek podkrakowski ubiera się chętnie w narodowe sukmanki, karazye, i rogatywki uważając, strój ten za świąteczny, paradny, gdyż ma on sposobność ukazywania się tak na powtarzających się często narodowych uroczystościach, jakie Kraków urządza.

Za to na podkarpaciu zachodniem, zwłaszcza w Żywiecczyźnie, strój góralski staje się już rzadkością, bo wpływ Niemców robi tu swoje. Szaro brunatne kurtki tyrolskie, pończochy i zielony kapelusz z piórkiem, to ideał naszego górala, bo tak ubrany chodzi każdy Verwalter, Ferster, Heger, a nawet parobek dworski.

Piękny strój góralski został w pogardzie odrzucony, jak pogardliwem przezwiskiem uczyniono nazwę „górala“. Chętnie też przyswajają sobie nasi górale pojedyncze słowa, nazwy i obyczaje niemieckie. Nie usłyszysz tu chrześcijańsko-polskiego powitania „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, któremu towarzyszy uchylenie kapelusza, ale uważaj sobie za szczególny wzgląd, gdy ci mruknie poufale „Dzień dobry“ lub „Moorgen!“

Niemczyzna kalecząc okropnie nasz język, czyni takowy dla nieprzyzwyczajonego prawie niezrozumiałym, wkrada się nadto do imion rodzinnych, gdyż spotykamy nierzadko pomiędzy ludem góralskim Leopoldów, Fridrichów, Ferdy-



Rysunek Artura Grottgera.

DUCH.

nandów, Rudolfów, Alojzych, Wiktorów, Edwardów, Ryszardów, Hugonów, Wilhelmów, Sigfridów i Robertów, bo takie imiona noszą Verwalterzy i ich synowie.

Zaniechajcie poczciwi nasi górale tego niestosownego, a dla nas szkodliwego małpowania, nie wstydźcie się swej nazwy „Góral", to nie przezwisko, ale oznaczenie, że jesteście mieszkańcami gór, tak samo, jak nie wstydzi się Polesiak, Podolanin, Mazur, swej nazwy, lecz owszem szczyci się nią. Wszyscy jesteśmy dziećmi wspólnej ojczyzny — Polski.

Nie gardźcie malowniczym strojem waszym, który wam pradziady przekazali, nie psujcie sobie języka obcym żargonem, bo dla nas nie masz na świecie piękniejszej mowy nad polską.

Nie naśladujcie obcego obyczaju, a obcy przybysze niech od was się uczą chwalić Boga, uszanować starszego wiekiem i powagą, a będą oni wtedy i was szanowali.

Dzieci wasze chrzcijcie imionami naszych królów i królewien, bohaterów i uczonych, w które historya nasza tak jest bogatą. W słowie i czynie zostańcie dziećmi tej ziemi, która was zrodziła.

J. B.

Odezwa do narodu polskiego.

Ślązku! spolaczejeszże ty kiedy?" Tak smutnie pytał, tak beznadziejnem żalił się wołaniem wielki kapłan-patryota polski XVII. w., ks. Tomasz Młodzianowski.

Na ten bolesny głos zwątpienia z przed dwóch wieków odezwało się w dobie najnowszej, w XIX. stuleciu, potężne echo z dzielnej piersi polskiej Stalmacha i Miarki i dziś na tamto trwożliwe pytanie odbrzmiewa nieprzepartą mocą twierdząca odpowiedź.

Dusza ludu polskiego w dzielnicy, oderwanej przed wiekami od pnia macierzystego, poczuwa się do krwi i kości swojej, z długiego budzi się uśpienia, do narodowego powraca życia: Ślązk się spolszczy i do dna z powrotem spolszczyć się musi.

Założenie gimnazyum polskiego oraz polskiej szkoły ludowej w Cieszynie, to niezmiernie ważne chwile w drodze do osiągnięcia ideału, wyrażonego przez ks. Młodzianowskiego, — ich założenie to stworzenie twierdz, które bronią młodzież polską przed wynarodowieniem, a zarazem są żywemi ogniskami polskiego życia umysłowego. Ich utrzymanie jest koniecznością, którą podpisany Wydział „Macierzy szkolnej" dla Księstwa Cieszyńskiego rozumnie, dobrze i jasno zdaje sobie sprawę z całego ogromu odpowiedzialności, jaka w trosce o istnienie tych zakładów spada nań wobec teraźniejszości i jutra.

Zarówno gimnazyum polskie, jak i polską szkołę ludową w Cieszynie powołała do życia „Macierz szkolna" dla Księstwa Cieszyńskiego. Ale nie łudzimy się wcale jakobyśmy sami, opierając się jedynie o dopiero budzący się do życia narodowego lud polski na Ślązku byli w stanie założyć i utrzymać oba te zakłady. Założenie ich i utrzymanie zawdzięczamy całemu społeczeństwu polskiemu, które zdrowym instynktem narodowym wiedzione, nie żałowało ofiar na te dwie szkoły kresowe, a w poczuciu potrzeby rychłej samoobrony narodowej, gdyśmy się wahali, czy już pora sposobna do ich zakładania nadeszła, nie szczędziło nam swojej gorącej zachęty i słowem i czynem dodawało nam otuchy i siły do wytrwania.

W ciągu kilkunastu lat działalności swojej „Macierz szkolna", ufna w to gorące poparcie rodaków z całej Polski, niejednokrotnie zwracała się do ogółu polskiego z prośbą o pomoc, a każde nasze odezwanie się przynosiło w rezultacie wielką ilość składek, które nam umożliwiły pomimo tylokrotnie zawiedzionej nadziei upaństwowienia gimnazyum polskiego w Cieszynie, zakład ten do dziśdnia utrzymać na odpowiedniej stopie, a zarazem w Cieszynie, gdzie niemczeni e coraz to gwałtowniejsze robi wysiłki, założyć ludową szkołę polską, jedyną w mieście w połowie swej polskiem.

I dziś znowu musimy odezwać się do ofiarności społeczeństwa polskiego.

Stan funduszów „Macierzy szkolnej" jest w te chwili taki, że zakładom szkolnym polskim w Cieszynie grozi obecnie bardzo poważne niebezpieczeństwo.

Wynika z tego, że bez natychmiastowej pomocy ze strony społeczeństwa polskiego musielibyśmy zakłady nasze poprostu zamknąć ku radości i tryumfowi wrogów, a z niepowetowaną szkodą dla pracy narodowej w Księstwie Cieszyńskiem. Nie przedstawimy sprawy zbyt czarno, gdy powiemy, że upadek gimnazyum polskiego i szkoły ludowej polskiej powaliłby ze sobą w gruzy cały dorobek półwiekowej pracy narodowej na Ślązku, a choćbyśmy potem zdobyli się nawet na założenie nowych zakładów, to należy wątpić, czy zdołałyby one odzyskać raz zawiedzione zaufanie ludności.

To są powody, dla których odwołujemy się do patryotycznej ofiarności społeczeństwa polskiego.

Nie dość było zacząć — trzeba było dokończyć dzieła. Nie dość w życie wprowadzić — trzeba utrzymać. Nie dość zagrzać i pomódz do pierwszej obrony — trzeba wytrwać i wesprzeć aż do ostatecznego zwycięstwa. Takie, w rzeczach ślązkich być powinno wiel-

kie hasło, wielka zasługa i wielki obowiązek całego społeczeństwa polskiego.

(Łaskawe datki upraszamy nadsyłać pod adresem: Zarząd „Macierzy szkolnej“ w Cieszynie. Każdy ofiarodawca otrzyma od Zarządu pokwitowanie).

Wydział „Macierzy szkolnej“
dla Księstwa Cieszyńskiego.

I my powtórzymy słowa odezwy: „Nie dość było zacząć — trzeba dokończyć dzieła“.

Spieszmy, ale wszyscy z groszem — a uratujemy zagrożoną narodową placówkę.

W noc jesienną.

(OBRAZEK).

(Dokończenie).

— Już mi się naprzykrzyło moje wdowieństwo — rozmyślała stroskana kokieta, — Nigdy spokoju, wypoczynku; ino pierz i pierz, a potem magluj i prasuj, aż ręcę ustają i nogi mdleją. Harowałam dla Staśka. Majster był z niego kontent, stolarka szła mu gładko i naraz przyplątała się ta nieszczęsna choroba. Jeżeli mi chłopak zemrze... nie przeżyję! Pójdę za nim! Ratuj Matko Najświętsza, bo mi serce pęknie! —

Walentowa załamala ręce, szlochała, łzy jako groch, spływały po jej jeszcze dorodnej, a niegdyś pięknej twarzy.

Na dworze wicher huczał i tłukł się w kominie, jęczał i świszczał po zakamarkach na poddaszu; deszcz bił w szyby gwałtownie, ognisko wygasło, a z okien źle zaopatrzonych wiał chłód na izbę.

Stary zegar tykał wolno, monotonnie tyk, tak. Mysz pod podłogą chrobotała i gryzła, w lampie knot skwierczał.

Chory dyszał ciężko, coś przez sen majaczył. W tej ciszy złowrogiej zdawało się, że śmierć wkrada się przyczajona, że za chwilę pochwyci swą ofiarę i wszystko się skończy! Walentowa siedziała wciąż przy łóżku syna pogrążona w głębokiej zadumie.

Czasami wstrząsały nią dreszcze trwogi. To znowu tak wyraźnie przesuwały się w jej myśli obrazy z niedalekiej przeszłości: ów wieczór zaręczynowy, goście rozweseleni, stół suto zastawiony, przystojny szykowny Kubik, co ją po rękach całował, obejmował w pół i czule patrząc w oczy szeptał: — będziesz moją, Maryś, będziesz panią. Tyś wdowa, ja wdowiec, czas nam się pocieszyć!

— Kiej ludzie mówią, Kubiku, że gorzałeczka wasza pocieszycielka — wtrąciła nieśmiało Walentówna. — Pluń na ludzkie gadanie — krzyknął Kubik gniewnie, — to kłamstwo!

Spojrzał przytem tak groźnie, że aż Walentową mrowie przeszło.

To się działo dwa tygodnie temu, a dziś!... Gorączka u chorego wzmagała się widocznie, bo znowu się ozwał i majaczył. — Pójdę daleko, nie wrócę do was, — szepnął żałośnie — Ojczym mnie zbił i z domu wypędził jak psa! Nagle uniósł się na pościeli i krzyknął przeraźliwie: — ratujcie matko, bo mnie zabije!

— Cichoj, cichoj synku, dam ci lekarstwa od gorączki, połóż się, zaśnij — uspakajała przerażona matka.

— Doktor mówił, że dziś przesilenie, kryzys. Może Bóg się zmiłuje, twoja choroba ustąpi i wyzdrowiejesz!

A biorąc rozpaloną rękę syna w swe zimne, spracowane dłonie mówiła. — Nie dam cię skrzywdzić, ani z domu wypedzić, mój Stachu serdeczny! Raczej wyrzeknę się Kubika i lepszej z nim doli! — Po chwili namysłu dodała: — Czy tylko lepszej, może tysiąc razy gorszej! — Może mię złe opętało i Bóg za to, żem łaknęła pieszczot i pieniędzy Kubiką, chorobą dziecka pokarał! Stach ma piętnaście lat bez mała, nieraz ładny grosz zarobi, okrutnie sprawny do rzemiosła. Jam jeszcze nie stara, pracować mogę i radzić, jakem sobie dotąd radziła. Bez Kubika żyć będę, sercu milczeć każe, zapomnę!... Bez Stacha niema dla mnie radości, szczęścia ni życia!

Walentowa padła na kolana, w gorącej modlitwie korzyła się przed Bogiem. Odbywała się w niej wewnętrzna walka, w której miłość macierzyńska miała zwyciężyć zmysłową skłonność i grzeszną pożądliwość.

Na dworze deszcz ustał. Zaczynało świtać, bo na ciemnym nieboskłonie odcinała się najpierw wąska, potem coraz szersza świetlana wstęga. Przez wilgotne, parą nasiąknięte okna pierwsze brzaski dnia wdzierały się do izby.

Stach spał spokojniej, policzki przestały mu pałać. pobladł, oddychał równo.

Zegar kościelny wydzwonił szóstą, wzywał na pacierze.

— Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi — szeptała Walentowa pobożnie, naraz drgnęła, do

jej uszu doleciało ciche, słodkie wołanie: — matulu! —

O! wielki Boże! Stach miał oczy otwarte, przytomne! Gdy uczuł pocałunek matki na czole i jej łzy rzęsiste, co mu na skronie padały, zapytał: — Płaczecie matulu, czego? Przecie mi lżej, nie umrę!

. . . .

Bóg wysłuchał gorących modłów kochającej matki i przyjął ofiarę jej serca. Do łoża chorego zstąpił zamiast anioła śmierci, anioł pocieszyciel.

Syn Walentowej był uratowany!

Helena Bocheńska.

O pielęgnowaniu ziemniaków.

Po wysadzeniu ziemniaków pole ziemniaczane wymaga pielęgnacyi. Jeżeli przed zejściem ziemniaków pole się zachwaści, trzeba je zbronować, aby chwasty zniszczyć. Po zejściu trzeba ziemniaki zgracować sprzężajnie albo zmotyczyć, jeżeli uprawę prowadzi się ręcznie.

Skoro krzaczki ziemniaków podrosną na jakieś dziesięć do piętnastu centymetrów, należy ogarnąć ziemniaki, uważając aby ziemia nie przykryła środkowych listków. Ogarnięcie może być dokonanem ogartywaczem (obsypnikiem czyli płużkiem), albo ręcznie za pomocą motyki. Im ziemia lżejsza, tem grobelki powinny być niższe i szersze, im ziemia cięższa, tem grobelki mogą być wyższe.

Powtórne i trzecie (jeżeli wogóle trzy razy się ogartuje) ogartywanie można wykonać w dwu lub co najwyżej trzytygodniowych odstępach czasu. Dłuższe przerwy między jednem a drugiem ogartywaniem zmniejszają plon i przyczyniają się do tego, że ziemniaki pod krzakiem są mniejsze. W każdym razie, czy ogartywanie będzie jedno, dwu- lub trzyrazowe, musi być uskutecznionem przed zakwitnięciem ziemniaków. Ogartywanie po zakwitnięciu jest niedozwolonem pod grozą wielkiego zmniejszenia się plonu ziemniaków. Grobelki utworzone przez ogartywanie powinny iść w kierunku od północy do południa. Tylko w tym wypadku wszystkie krzaczki ziemniaków na polu będą jednakowo oświetlone, co upewnia jednakowy plon. Im kierunek grobelek będzie więcej odstępował od kierunku z północy na południe, a będzie zbliżał się do kierunku od wschodu do zachodu, tem mniej jednostajnem będzie oświetlenie krzaczków na polu, tem mniej jednostajnym będzie plon.

Z wychodźctwa polskiego.

I. Wychodźctwo polskie do westwalskich górniczo-przemysłowych okolic, datuje się od niemiecko-francuskiej wojny, tj. od roku 1870; atoli ruch silniejszy rozpoczął się co dopiero w ostatnich 10 latach, bo właśnie dopiero powstały kolonie polskie, które teraz liczą w niektórych miejscowościach po kilka tysięcy ludności polskiej, np. Bottrop, Borsch, Gelsenkirchen, Herten itd. Cała emigracya składa się wyłącznie z ludu roboczego z Księstwa Poznańskiego, Prus wschodnich i zachodnich i górnego Ślązka, ale nie brak też robotników z Galicyi. Tych ostatnich jednak w ostatnich czasach wydalają, jako obcych poddanych, bezlitośnie. To wychodźctwo jest wielkim uszczerbkiem dla społeczeństwa naszego, ponieważ niemczenie ludu tego robi ogromne spustoszenia, dziś a mieszanych małżeństw, tj. Polaków z Niemkami liczą bardzo wiele. Są to jednak małżeństwa zawarte w przeszłych latach, bo teraz zdarzają się rzadziej, podobno młodzieży też duży procent zniemczony, chociaż i wiarusów nie brak pomiędzy dziatwą, zależy to od rodziców, oraz innych warunków. Gazet polskich przychodzi sta i tysiące z kraju. *Wiarus Bochumski* ma 6000 czytelników, ale i niemieckich „*Blattów*“ nie brak nam tysiące, a tysiące marek polskiego grosza idzie rok rocznie na nie. Jak słyszę, w Dortmundzie ma powstać obecnie polskie pismo 2-gie obok *Wiarusa*.

II. „Związek Polaków w Niemczech“ zwołuje wiece; rozdaje od czasu do czasu elementarze polskie pomiędzy dziatwę itd. Policya nieraz bezprawnie rozwiązuje wiece i przeszkadza — zaś sali nie można otrzymać na odbycie wiecu; jednak Polacy się nie dają zbić z tropu dzięki oświacie, i przewyższają pod tym względem swych współbraci w rodzinnych ziemiach, jak dowodzą ostatnie wybory do parlamentu w Diesburg-Ruhrot, gdzie Polacy swych własnych kandydatów postawili, podczas gdy taki organ górnośląski *Katolik* obawia się głosować na Polaków — jak to pogodzić?

W każdej osadzie istnieją Towarzystwa. Najwięcej Towarzystw jest religijnych — kościelnych, w ostatnim czasie przybierają charakter i narodowy, to też dla nich droga pełna cierni i głogów, ze strony nie tylko rządu, ale i księży Niemców. — Nieraz się zdarza, że zebranie odbywa się pod dozorem kilku policyantów — nieraz tajnych szpiegów. Wszakżeż przy tak niewinnej uroczystości, jaką urządziło Tow. w Boger pod Bottropem 2 lutego, na cześć Ojca św. — (obchód wyłącznie religijny) — a widziałem tam komisarza oraz tłumacza — a na każdem zgromadzeniu tegoż Tow. są obecne „pikelhauby“ tj. żandarmi, by uchwycić tam polską agitacyę. Mamy jeszcze coś około 25 Kółek śpiewackich, oraz kilku Sokołów, ale nie brak też jednego socyalistycznego Związku, składającego się z Polaków w Herten — które stoi na chwiejnych nogach. Majątek Tow. wynosi coś blisko 2500 mk., brak jednak światłych ludzi po Towarzystwach, chociaż powoli wyrabiają się i tacy.

III. Opieka duchowna jest u nas prawie żadna i całkiem nie wystarczająca — stąd niebezpieczeństwo dla naszego wychodźctwa, napróżno domagają się Polacy polskich kapłanów — jest kilku Niemców — księży, którzy się wyuczyli języka polskiego — ale ci swą łamaną polszczyzną nie zdolni są zjednać serc polskich parafian. Już słyszano z ambony, wy „polskie pysk“... wam „osły“ nie można nic robić dla „palicy“ a ksiądz biskub Simar powiedział „verkommenes Volk“. To też rozgoryczenie jest wielkie — a stosunek Polaków do księży Niemców jest niepocieszający.

IV. Pod względem materyalnym, to wszelki zysk z naszego wychodźctwa płynie dla Niemców, i tam powstają polskie kramiki, ale bardzo miernie się mogą trzymać, bo współzawodnictwo ze strony niemiecko-żydowskiej jest wielkie a nasi, to ludziska dobroduszni, i łatwo dający się się oszukać i wyzyskać. Rzemieślnikami samodzielnymi we wszystkich gałęziach przemysłu są Niemcy i żydzi, którzy wyzyskują polską ludność — tak samo, jak w Galicyi

Wielu Polaków zaoszczędziwszy sobie grosz, powraca nieraz w ojczyste strony, aby tam zakupić ziemię, co jest bardzo pocieszającem. Mała część tylko zamyśla pozostać tutaj na zawsze, co do kobiet Polek tutejszych, to zamilczeć nie można, że one stają się lekkomyślniejszemi oraz obojętniejszemi, jak w kraju dla spraw narodowych, ale nie wszystkie — bo możemy się też niektóremi Polkami na obczyźnie poszczycić — które są tak światłe i znają dokładnie historyę Polski, przytem wychowują swą młodzież na prawdziwych Polaków, aby w przyszłości kością stanąć mogli Niemcom w gardle.

Co do Towarzystw polskich, są one prawdziwemi ogniskami braterskiej miłości i najlepszą bronią przeciw niemczeniu. Każde Towarzystwo da rok rocznie po kilka przedstawień amatorskich. Nieraz zbierze się na jaką uroczystość i do 15-tu Towarzystw sąsiedzkich, ze swojemi chorągwiami. Jest to prawdziwa manifestacya polska, i najlepszy dowód, że i tu w głębi Niemiec w Westfalii ruch polski się rozwija — Polska żyje — i odradza się, a my czekamy wzlotu orła, któryby nas poprowadził w stronę Odry i Wisły — bo tam nasz kraj, tam nasza Ojczyzna — my w to święcie wierzymy!

Chorągwie towarzystw choć zostają nieraz poświęcone, nie zawsze można do kościołów zanieść, wszak Towarzystwo św. Jacka tu w Bottropie już od 2 lat nie może pójść z chorągwią do kościoła — (została chorągiew przed 4 laty poświęconą) przypuszczać można, tylko dlatego, ponieważ na jednej stronie widnieje obraz św. Jacka, a więc Polaka, a na drugiej stronie Matka Boska Częstochowska, a więc Królowa Korony polskiej, a to strach dla nich Prusaków. — Nieraz gdy członek którego Towarzystwa zmarł, bierze Tow. z chorągwią udział w pogrzebie — wtedy aż na cmentarz wolno pójść z chorągwią — przy mszy św. żałobnej nie wolno z nią stać, a już się zdarzyło, że policya nie pozwoliła z chorągwią brać udziału w pogrzebie, a po niektórych Towarzystwach więcej podejrzanych, chodzili policyanci i odpisywali sobie barwy i kolory chorągwi — a jeżeli prawda, jak słyszałem — gdzieś mieli robić rysunki fotografie.

ROZMAITOŚCI.

Biskup Zwierowicz, o którego bohaterskim czynie pisaliśmy w ostatnim numerze *Przodownicy*, został zawezwany do Petersburga, gdzie minister rosyjski zażądał, by się zrzekł godności biskupiej. Biskup tego uczynić nie mógł i nie chciał, bo godność swą otrzymał nie z rąk cara, ale od swej władzy kościelnej katolickiej. Rząd moskiewski odebrał mu wtedy godność tę samowolnie i wysłał go do Tweru w głębi Rosyi, jako zwyczajnego księdza za karę.

Walne Zgromadzenie włościańskiego Koła Oświaty ludowej odbyło się dnia 13 kwietnia w Tarnobrzegu. Zaczęło się o godzinie 2-giej po południu w czytelni mieszczańskiej, a chociaż sala jest tam dosyć obszerna, była zapełniona. Zagaił zgromadzenie p. Wiącek, przewodniczący Koła, potem przemawiali inni, ale najwię-

cej godne uwagi, że wystąpiły z przemową kobiety i z ich słów było widać, jak dobrze zrozumiały całą pracę Koła i jak głęboko odczuwają potrzebę światła. Postawiono kilka wniosków, n. p. o założeniu gimnazyum w Tarnobrzegu, o wybudowaniu domu ludowego i o założeniu szkoły analfabetów. Wszystkie te wnioski przeszły jednogłośnie, i jak się zdaje, obudziły jeszcze większy zapał do dalszej pracy na polu oświaty. Następnie przystąpiono do wyboru nowego Komitetu, ale nie zmieniono go, co dowodzi, że praca jego była użyteczna. Komitet został jednak powiększony przez wprowadzenie czterech niewiast; objaw to niezmiernie pocieszający, przepowiadający jeszcze świetniejszą przyszłość tej pracy, bo jeżeli kobieta odczuwa potrzebę światła i z zapałem garnie się do niego, to zrobi ona dużo i swego zapału udzieli jeszcze innym. Daj Boże, aby najwięcej kobiet poszło za przykładem rodaczek tarnobrzeskich, i trochę swej pracy i czasu poświęciły dla dobra ogólnego.

Po Zgromadzeniu urządzono staropolskie wspaniałe Święcone, mowy były serdeczne, wszyscy byli weseli, bo muzyka grała dzielnie polskie pieśni. Potem rozpoczęły się ożywione wesołe tańce, które trwały do samego rana.

Dzieci wrzesińskie. Z dzieci wrzesińskich, które po ukończeniu 14 roku życia miały opuścić szkołę, 40 zostawiono w szkole na rok przyszły, bo brakowało im, jak napisał nauczyciel ich w świadectwach, „moralnej dojrzałości“ i „nie mają dostatecznych wiadomości w religii, głównym przedmiocie nauki“.

Do ostatniej chwili dzieci te nie odpowiadały religii po niemiecku.

Szkoła ta stała się więc zakładem karnym.

Smutne to są sprawy, ale jedno z dwojga, lepiej cierpieć, nie ugiąwszy karku przed przemocą, niż z obawy przed pięścią wyrzekać się swojej ludzkiej godności, swego prawa do rodzinnego języka, do własnej narodowości. Kto postępując wedle swych zasad, ściągnie na siebie chłoszczącą dłoń silniejszego wroga, zostanie jednak czystszy na duszy i dumniej będzie patrzał na świat, niż ten, co żyje w zgodzie z tyranem, znosząc obelgi w milczeniu i usiłując zapomnieć, że jest także człowiekiem.

Nowe ofiary przemocy. Dwie córeczki p. Jezakowskiej z Wirów pod Poznaniem, przyłączył nauczyciel szkoły, do której uczęszczają, do oddziału niemieckiego dlatego, że matka ich, a żona pana J. nazywała się z domu Petsche. Skorzystano więc z tego, że nazwisko to ma brzmienie niemieckie. Chcą z dziewczynek, które wychowywane były po polsku i których rodzice są, z przekonań i uczuć Polakami, zrobić Niemki! Jest to nie mniej nie więcej tylko kradzież naszych dzieci! Dawniej robili to tylko cyganie, teraz nie dziwy, że naród chcący uchodzić za cywilizowany, ucieka się do takiego zaszczytnego środka. Muszą jednak Niemcy czuć dużo siły ducha w Polakach i obawiać się tej siły, jeśli chodzi im nawet o przeciągnięcie, na swą stronę lada dziecięcej duszyczki!

Miejmy jednak nadzieję, że dziewczynki te, choć będą musiały uchodzić za Niemki, w duszy zachowają czystość uczuć polskich, uczuć tem gorętszych i gwałconych przez wroga!

Mickiewicz prześladowany przez Niemców. Księgarzowi p. Nowakowi w Starogrodzie pruskim, zabrano przy rewizyi tom I. Mickiewicza, ponieważ ma zawierać ustępy wrogie dla Niemców.

Co się dzieje w Rosyi. Państwo rosyjskie na pozór tak silne i potężne, obejmujące kraje od morza do morza, drżące pod ręką samowładcy-cara, nie jest jednak w gruncie rzeczy tak silne, jakiem się wydaje. Chowa ono w swojem łonie dużo niesprawiedliwości, gwałtów, przemocy, a wszyscy ci ludzie uciemiężeni wyraźnie to odczuwają, że wyrządza się krzywdę, buntują się ich dusze, kipi w nich oburzenie, stąd nienawiść dla krzywdzącego rządu, pragnienie zemsty, chęć odwetu!

Lata całe powtarzają się co roku rozruchy młodzieży uczącej się w wyższych naukowych zakładach. Dzieje się im i rodzicom ich krzywda ze strony rządu, który jedyny w Europie, nie dał narodowi konstytucyi i postępuje na wzór dawnych tyranów azyatyckich. W Rosyi sami Rosyanie nie czują się dobrze, muszą oni dostosowywać się do woli i życzeń cara, a dla nich samych, dla ich wygody rząd nie robi prawie nic! To też młodzież, która jak zawsze młodsi, najgoręcej czuje i najskorsza jest do czynu, stawia rządowi wyraźnie swoje wymagania. Ale ciężko za to odwetować musi. Kto tylko śmiał głośno wypowiedzieć swoje niezadowolenie z istniejącego porządku, zostaje wyrzucony z zakładu, w którym się uczył; często całe życie ma złamane, bo trudno mu zapracować na kawałek chleba, gdyż nietylko, że mu nie dadzą się uczyć, ale nie dostanie on nigdy żadnej posady w żadnym urzędzie. To jeszcze najmniej groźna kara. Innych bowiem i tych właśnie najodważniejszych, najszlachetniejszych, którzy najgłośniej wyrażają swe niezadowolenie, oddają do służby wojskowej jako prostych żołnierzy i tam każdy żołnierz ma prawo niemi pomiatać jako buntownikami. Inni zaś lata całe przesiadują w więzieniach okropnych. Jest n. p. jedna zwana fortecą Szlisselburgską, w której cele dla więźni są urządzone pod kanałem wodnym, skąd sączy się woda i panuje straszna wilgoć. I tam ludzie siedzą po 20 lat! I za co? Za to, że pragnęli szczęścia współbraci, że chcieli się poświęcić dla dobra wszystkich! Inni jeszcze zostają wysłani na Syberyę, gdzie giną w katorgach.

W Rosyi ludzie, na których rząd ma podejrzenie, nie zostają zasądzeni przez sąd, sprawa ich nie wyta-

cza się przed wszystkimi. Ci ludzie nagle znikają. I najbliżsi krewni nie wiedzą często, co się z nimi stało. Są niepotrzebni, więc zostają usunięci. Jak i gdzie? wolno się domyślać, ale na pewno nie wiadomo. W dziennikach nie wolno o tem pisać, tam bowiem wolno tylko chwalić rząd i cara.

Chociaż wśród Moskali dużo jest ludzi ciemnych i z niską duszą, którzy starają się przypodobać rządowi, wszystko chwalą i nie robią nic, coby mu się sprzeciwiało, jednak są i tacy, którzy dorośli do godności ludzkiej i nie chcą się przypochlebiać, aby otrzymać łaskę. Takich coraz więcej. I tacy rozniosą Rosyę! Oni sami Moskale, nienawidzą swego rządu. Duszę ich łamią, ale liczba ich rośnie, siła potężnieje!

Do młodzieży akademickiej, której są dziesiątki tysięcy, przyłączają się robotnicy. Ci ludzie przeciążani pracą, raz przecie chcą rozgiąć kark! A nie wolno im strejkować, ani zbierać się w liczne tłumy, ani przemawiać publicznie lub tłumnie śpiewać pieśni, bo zaraz wpadnie wśród nich hurma kozaków, którzy bijąc „nahajkami“ tratują, ranią, mordują! Ale mimo to robotnicy zbierają się nocami, radzą, rozumują i burzą się coraz więcej. I wieśniak rosyjski poczuł, że zanadto go gnębią, i chociaż w Rosyi panuje straszna ciemnota, jednak miejscami zrywa się i miejska ludność do walki z przemocą. Nawet wojsko, choć trzymane w żelaznym rygorze, podnosi głowę! Zdarzały się wypadki, że kiedy oficer kazał żołnierzom strzelać do tłumu, odmawiali mu posłuszeństwa, pomimo, że czekała ich straszna kara!

Mówiliśmy dotąd o rodowitych Moskalach, a cóż mówić o narodach zabranych, podbitych, które jęczą w jarzmie moskiewskiem. Jak się tam czują Polacy, o tem wiemy zbliska i wiemy tu, jak chętnie zerwaliby się oni do walki! A w Rosyi są jeszcze inne a liczne narody drobne, słabe, ale niemniej przywiązane do swojej narodowości. I ci wśród ucisku, niegdyś słabi, dziś potężnieją duchem, rosną na sile i coraz śmielej mówią o swoich prawach. Kiedyś obszerniej pomówimy z Kochanemi Czytelniczkami o tych biedakach, teraz wymienimy Finlandyę, która zawsze wieki całe miała dużo swobód i teraz jej odbierają, pomimo, że zachowywała się cicho! Dalej jęczą tysiące Litwinów, którym nie wolno nawet mieć książek we własnym języku, jest mnóstwo Rusinów; ci już są bardzo uświadomieni, mają swoje stowarzyszenia, swoje szerokie plany i dużo goryczy do Rosyi. Niezliczone są wolne niegdyś państewka złamane przez Rosyę, na Kaukazie, we wschodniej Rosyi i na Syberyi.

I ci także, choć ciemni, kochają swoją ojczyznę i swobodę, a ze wzrostem cywilizacyi, urośnie i u nich odwaga. To też rząd rosyjski radby wszystkich poddanych utrzymać w ciemnocie. Jeden z carów Mikołaj I. mówił: „nie chcę mieć poddanych rozumnych, ale posłusznych“.

A więc ten tak z pozoru potężny wróg nasz, ma całą masę słabych stron, wewnętrzni wrogowie wcześniej czy później rozniosą go na kawały, pęknie, jak bańka mydlana, nie trzeba na to wojny z sąsiadami, przyjdzie upadek sam z siebie. Rozłamie się Rosya, osłabnie, zniknie żelazna ręka caratu, co ją wiąże i uciemiężone narody odetchną swobodnie, pełną piersią i ujrzą, że są wolne, i że mogą już nie czując bicza nad sobą, myśleć i czuć po swojemu. Polska, jako naród najsilniejszy wśród nich i najwyżej stojący pod względem umysłowym, najbardziej ucywilizowany, najprędzej ujrzy się swobodną i przyjdzie do równowagi. Czy tego dożyjemy, nic twierdzić nie można! Trzeba tylko chcieć, pragnąć i przytem gorąco i szczerze czuć.

Teatr ludowy. Otwarty został w Krakowie teatr ludowy. Urządził go dzielny Knake-Zawadzki, dzielny dlatego, że pomimo licznych przeszkód, postawił na swojem. Trudno jest bowiem utrzymać porządną trupę artystów dramatycznych, jeśli ceny miejsc w teatrze mają być bardzo niskie.

Odrestaurowano starą spaloną farykę i przerobiono ją na scenę ludową.

Jest to ogromny zysk dla ludności krakowskiej, może ona teraz korzystać z niskich cen i z przedstawień najrozmaitszej treści. Dobry teatr ma zawsze dobry wpływ, unosi człowieka w inne otoczenie, wśród nieznanych mu ludzi, wskazuje mu cierpienia i radości ludzkie, przedstawia piękne, podniosłe charaktery, albo też brzydkie i nędzne. Człowiek korzystając z teatru, wyrabia się, nabiera upodobania w pięknie, w sztuce, i pozbywa się pociągu do marnych, powierzchownych przyjemności.

Order pracy. Rząd włoski nadał niedawno stworzony „order pracy“ sześciu osobom, które o własnych siłach zdobyły wybitne stanowisko w handlu i przemyśle, a zarazem odznaczyły się działalnością społeczną. Jest między nimi właściciel fabryki bielizny, niegdyś prosty robotnik, dalej właściciel wielu okrętów handlowych, syn robotnika portowego, potem posiadacz największej włoskiej fabryki wyrobów blaszanych, niegdyś ubogi blacharz i inni.

Bezsenność u dzieci. Dziecko zdrowe, syte i porządnie utrzymywane jest zazwyczaj spokojne i śpi w ogóle dobrze. Gdy dziecko sypiać nie chce, — musi mu coś dolegać. Trzeba zatem usunąć przyczynę dolegliwości. Najczęstszą jest nią nieodpowiednie żywienie dziecka. Nieraz już 2 miesięcznym dzieciom dają matki kaszę, bułkę rozmoczoną, cukier w gałganku i inne pokarmy, które w tak wczesnym wieku strawione należycie być nie mogą i powodują bolesne wzdęcie brzuszka, t. zw. kolki, no i naturalnie płacz ciągły. Dajmy tedy dziecku tylko pierś lub przygotowane ciepłe mleko, pół na pół z przegotowaną wodą, a dziecko krzyczeć przestanie i dobrze sypiać będzie.

Często dziecko jest głodne, bo matka ma w piersi za mało pokarmu. Wówczas budzi się w nocy często, a nienasycone również spać nie może. Dokarmienie przygotowanem mlekiem z wodą pomoże tu również. Wreszcie bardzo często dziecko jest źle utrzymane. Mając pod sobą ciągle mokre brudne szmaty, cierpi na straszny ból i swędzenie całego ciałka. Czyż dziwnem jest, że spać nie będzie. Zmieniajmy pod dzieckiem pieluszki, obmywajmy ciałko często i zasypujmy proszkiem miałkim z widłaków (kołtunów) lub mączką ryżową, a dziecko spać będzie z pewnością. Najlepszą ogólną radą na bezsenność będzie robienie dziecku na noc letniej kąpieli. Kąpiel nawet i starszym na bezsenność pomaga, a u dzieci jest prawie niezawodnym środkiem. Żadnych naparów ani ziółek dzieciom dawać nie trzeba, bo te tylko zuszkodzić mogą.

Maj. W polu późniejsze zasiewy pokończyć, buraki, ziemniaki wysadzić, tak samo wysiać konopie, 28 do 40 garncy na mórg, kukurudzę rzędowo 8 do 16 garncy na mórg, hreczkę 20 do 25 garncy, proso 5—9 garncy rzędami co 40 centymetrów, fasolę, mak $1^1/_2$ do $2^1/_2$ garnca. Koński ząb siać razem z grochem, mieszanki późniejsze na paszę — także drobnoziarnistą kukurudzę — albo sorgo cukrowe, które się u nas doskonale udaje. Skoro ziemniaki zejdą, wtedy zbronować doskonale wzdłuż rzędów, wyniszczy się dużo chwastów tym sposobem. Gdy podrosną trochę od ziemi, okopać i oczyścić pierwszy raz ziemniaki.

Wcześnie też już w maju przejść gracami lub motykami buraki i marchew, jak tylko zejdą, aby chwasty wyniszczyć, i ziemię spulchnić. To samo z oziminami, jeżeli je wysiano w szerokie rzędy.

Zawczasu należy zaasekurować od gradu zboża i inne plony cenniejsze. Chmiel pierwszy raz do tyk przywiązać słomą.

W sadach drzewa kwitną — przymrozek grozi, można je ochronić rozpostarciem płachty lub nawet papieru nad drzewkiem, albo dymem z kupy śmiecia rozmaitego. Dymiące stosy smolne w całej wsi pozapalane chronią od przymrozków sady i ogrody.

Chrabąszcze majowe zbierać z pomocą dzieci rankami z drzew i krzaków i niszczyć.

Przesadzać kapustę z rozsadnika na pole wynawożone świeżo, póki jeszcze wilgoci dosyć w roli.

Skoro trawa się puści, bydło wychodzi na pastwiska, dobrze obeschnięte, na szronie nie paść. Łatwo teraz o wzdęcie bydła. Mieć przygotowany amoniak, który się w razie rozdęcia daje bydlęciu z wodą (2 łyżki na litr wody), należy mieć również w pogotowiu do tego celu wapno świeżo gaszone w suchej flaszce, które się daje z wodą. Zresztą pomaga przebicie żołądka trokarem przez umiejętnego. Zieloną paszę w stajni dla krów, krajać, mieszać ze sieczką ze słomy, wtedy większy jest z niej użytek.

Ostrożność przy używaniu ziemniaków. Używając ziemniaków, nie powinniśmy zapominać, pisze dr. Czarnowski, że one należą do rodzaju roślin trujących. Dlatego trzeba ziemniaki używać tylko w małych ilościach i nie za często. N a j w i ę k s z ą o s t r o ż n o ś ć należy zachować szczególnie przy używaniu zbyt młodych, jako też starych kiełkujących lub wyrastających ziemniaków. Takie bowiem zawierają w sobie najwięcej trucizny zwanej „solaniny“ i łatwo mogą tak ludziom, jak i bydłu szkodzić. Objawy otrucia takiego są: ból i zawrót głowy, kurcze żołądkowe, rozwolnienie, zbyt wzmogłe pragnienie, ból w dołku, drgawki. W takich razach trzeba użyć rycynowego oleju.

Każda gosposia powinna nazbierać sobie m ł o d e g o szczawiu teraz w porze wiosennej, kiedy on jest młody i niewyrośnięty, i ususzyć. A suszy się w ten sposób, że zebrany młody czysty szczaw, rozrzuca się na rozłożonej w cieniu płachcie, również czystej, a gdy uschnie wsypać go do słoja czystego i przechować do jesieni i zimy w suchem miejscu. Taki ususzony szczaw chętnie kupią panie na targach i jarmarkach. Taksamo suszy się k o p e r.

Ser ziemniaczany bardzo dobry. Na 2 funty ugotowanych i utartych ziemniaków wziąść 4 funty świeżego twarogu, wymieszać razem i zostawić 2 do 3 dni w suchej piwnicy. Potem znowu przemieszać i ułożyć w formy drewniane dziurkowane. Po kilku dniach gdy przeschną, postawić te formy w miejscu t r o c h ę cieplejszem, ale nie na piecu, ani na słońcu. Jeżeli ser popęka, posmarować go lekko piwem, albo mlekiem niezbieranem. Ser ten przechowany w faseczkach lub skrzynkach — ale czystych — przełożony sianem świeżutkiem i czyściutkiem staje się coraz lepszy.

Przygotowanie inwentarza do pastwiska. Zanim wypędzi się inwentarz na pastwisko wiosenne, należy go do tegoż przyzwyczaić, zadając co najmniej przez tydzień potrosze zieleniny w stajni. Niema nic szkodliwszego, jak raptowne przejście z suchej paszy na zieloną. Biegunki oraz inne nieprawidłowości przepowodu pokarmowego pojawiłyby się z pewnością, w razie nieostrożnego, niedbałego postępowania, jakiem nazwać trzeba każdą szybką zmianę sposobu żywienia. Złe następstwa podobnego postępowania ujawniłyby się tem prędzej i tem uporczywiej, czem niekorzystniejsze będzie powietrze w czasie początkowego przebywania inwentarza na pastwisku. Przebywanie zwierząt na pastwisku w razie długotrwałego deszczu, wichru itd., jest naturalnie zupełnie niemożliwe. Lecz zaznaczamy, iż złe powietrze szkodzi daleko więcej w pierwszym czasie wypędzania, aniżeli później, gdy inwentarz przyzwyczaił się do powietrza oraz do różnych zmian jego.

Jeżeli nie ma zieleniny do zakładki w stajni, to ostatecznie wystarczyć musi zakładka siana lub dobrej

słomy przed wypędzeniem, a na pastwisku nie przetrzymywać inwentarza za długo.

Trawniki na wiosnę. Prawie każdy trawnik ucierpi przez zimę wskutek mrozów, wyprzenia itp. Na wiosnę zazieleni się trawnik, jednakże badany dokładniej z bliska, wykaże miejsc gołych nie mało. Skopanie całej przestrzeni i obsianie nowemi trawami byłoby za kosztownem, zresztą nie koniecznie potrzebnem. Możemy go przecież „wyreperować“ w sposób łatwy i niekosztowny. Otóż należy na wiosnę trawniki zgrabić ciężkiemi grabiami żelaznemi. Ziemia się cokolwiek wzruszy;, skoro obsiejemy trawnik chociaż drobną ilością trawy, a następnie przywałujemy wałkiem, — niebawem zazieleni się w całej pełni, a będzie silniejszy i lepszym, aniżeli trawnik świeżo założony.

Marchew pastewna, jako roślina, która na ziemi lżejszej zastąpić może buraki cukrowe. Stawia ona nie wielkie wymagania co do gruntu, tak, że uprawa jej opłaca się na ziemi piasczystej. Plony 300—400 podwójnych ctr. z hektara nie bywają nadzwyczajnymi. Gospodarstwa przy miastach sprzedawać mogą marchew osobom prywatnym, posiadającym konie, oraz magazynom wojskowym. W własnem gospodarstwie, daje się marchew zużytkować wielostronnie. Paść nią można konie wśród zimy, albo w czasie nie zbyt męczących robót. Dla młodzieży, mianowicie źrebiąt stanowi ona paszę nieocenioną. Pod względem zdrowym, ma wielkie znaczenie, gdyż zapobiega chorobom, przeczyszczając organizm. Bardzo przydatną bywa marchew w czasie przejściowym z paszy suchej na zieloną i przeciwnie.

Marchew wymaga ziemi głęboko spulchnionej, świeżo wynawożonej. Na lekkim gruncie bywa niezbędnym dodatek potasu w sztucznym nawozie. Ziemia uboga w wapno powinna być zasilaną nawozem wapiennym. (Tyle razy pisaliśmy, iż wapno stanowi taki sam konieczny nawóz, jak azot, potas i kwas fosforowy. Bez odpowiedniej zawartości wapna w gruncie nie uzyskamy wysokich plonów dobrego produktu). Siew najlepszy drylem w rządkach oddalonych od siebie na 25—30 ctm. Na hektar bierze się 5—6 kgr. nasienia i to najlepiej marchwi żółtej o zielonym łebku.

Uprawa t o p i n a m b u r u czyli bulwy, również zasługuje na uwagę. Najlepsza ziemia wydawać będzie ładne zbiory topinamburu. Wielką dogodnością przy uprawie tej rośliny bywa, że bulwa nie marznie; przez całą zimę może sobie pozostać w ziemi, gdzie przechowa się jaknajlepiej. Sprzęt dochodzi do 300 podwójnych ctm. z hektara. Bulwami spasa się źrebięta, owce, i inny inwentarz. Łodygi z liśćmi służą za paszę dla owiec i dla zwierzyny. Takowe zrzyna się przed zimą, wiąże w snopki, ustawia i wedle potrzeby dowozi do użytku. Uprawa zupełnie podobna do uprawy ziemniaków.

Pod bulwę należałoby przeznaczać miejsca mniej dostępne, które trudno uprawiać.

PYTANIA i ODPOWIEDZI.

Szanownym Weronice i Stanisławie — w przyszłym numerze napiszemy co to są „tramwaje“.

Nr. 3 *Przodownicy* zupełnie wyczerpany. — Gdy go ponownie wydamy — nieomieszkamy zaraz porozsyłać tym Prenumeratorkom i Prenumeratorom, którzy tego numeru nie otrzymali.

Sz. Drabikowi spis wydawnictw grosz., wysłałyśmy, jak również **Sz. Dobrzańskiemu** dziełko o „Pszczelnictwie“.

Tym Prenumeratom *Przodownicy,* którzy pytają, czy administracya poczeka do czerwca lub lipca, br. na zapłatę za to pisemko — donosimy — że bardzo chętnie, uczyni zadość ich życzeniom.

Na życzenie Sz. W. w Słocinie — zamieszczamy radę na bezsenność u dzieci małych.

Sz. Kwiatkowskiemu *Przegląd wszechpolski* wysłany w czterech numerach.

Przypominamy że raklamacye wysyła się nieopłacone — trzeba jednak na kartce pisząc do administracyi *Przodownicy* na wierzchu tejże napisać — r e k l a m a c y a. Listów nieopłaconych administracya przyjmować nie będzie. — Pamiętajcie Drogie Czytelniczki o zapłaceniu prenumeraty *Przodownicy* i o zachęcaniu znajomych, krewnych, kumoszek, sąsiadek do jej prenumerowania. Im więcej będzie ona miała prenumeratorek tem piękniejsze będzie dodawała obrazki, powiastki i opowiadania. — A w roku przyszłym, jeżeli zgłosi się dużo zamówień — dodawać będziemy osobny dodatek powieściowy z obrazkami dla Waszej dziatwy. Wydawanie takiego pisemka — to dużo pieniędzy kosztuje i wiele przynosi trudu pracy i starania.

Nie powinniście więc z prenumeratą zalegać tym więcej, że *Przodownica* jest Wam, jak sami piszecie „przyjaciółką szczerą, mieszczącą rady i pouczenia, obrazki, historye, pod Wasze strzechy“. Polecajcie więc ją — czytajcie chętnie — piszcie i żądajcie w dalszym ciągu rad i wskazówek — a z radością odpowie Wam na każde Wasze żądanie. Przy tej sposobności przesyła Wam Drogie Czytelniczki Redakcya i Administracya serdeczne pozdrowienie z podwawelskiego grodu.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka.
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.